

Izabela Kubalska

Męża poznałam na Oazie wakacyjnej. Oboje byliśmy w młodzieżowym Ruchu Światło-Życie. W 2005 r. pojechaliśmy na obóz jako animatorzy. Okazało się, że kończąc tę oazę następnego dnia mamy swoją. Pojechaliśmy na nią razem. Tam się w sobie zakochaliśmy. Po trzech, czterech dniach już wiedziałam, że chcę, żeby Paweł był moim mężem. On miał podobnie – też chciał się ze mną ożenić. Poznaliśmy się przed klasą maturalną. Potem na studia wyjechaliśmy do Warszawy. Na drugim roku Paweł mi się oświadczył i planowaliśmy ślub za rok, ale stwierdziliśmy, że nie chcemy tyle czekać i odbył się już po trzech miesiącach. Byliśmy bardzo młodzi, bo skończyliśmy dopiero drugi rok studiów. Przez rok mieszkaliśmy u rodziców, ale potem wydarzyła się rzecz niebywała. Mając zaledwie umowy zlecenia i nie posiadając kapitału na wkład własny, udało nam się kupić kawalerkę.

Czas kryzysów

W ciąży z pierwszym synem byłam na piątym roku studiów. Studia ukończyłam, ale nie udało mi się napisać pracy magisterskiej. Pisałam ją, jak syn miał kilka miesięcy. Dwa lata później natomiast urodził się kolejny syn. To było gigantyczne wyzwanie. Dopiero skończyliśmy studia, zaczęliśmy pracę, a tutaj pojawiły się dodatkowe obowiązki i presja, że trzeba zarobić pieniądze, by utrzymać rodzinę.

Zaczęły się wówczas kryzysy w naszym małżeństwie i pojawiło się ogromne zmęczenie. Mąż w pracy, ja w domu z dwójką dzieci. Klóciliśmy się, głównie o sposób wychowywania dzieci. Walczyliśmy ze sobą, bo mieliśmy różne wizje. Z wykształcenia jestem pedagogiem, więc uważałam, że wszystko, co robię, robię najlepiej. Mój młodszy syn ma silny charakter i od początku mu ulegałam. Mąż się

Najważniejszy jest przykład



z tego powodu denerwował, więc podkreślał mu śrubę. Ja natomiast uważałam, że jest zbyt surowy. Oczywiście nakładał się na to fakt, że byliśmy jeszcze niedojrzali, nieświadomi wielu mechanizmów, które nami kierowały.

Osobistą więź z Bogiem zbudowałam dopiero dzięki Oazie, gdzie dzięki spotkaniom animatorów, moderatorów, księżom zobaczyłam, jak bardzo liczy się osobista relacja z Jezusem, taka prawdziwa przyjaźń. Po urodzeniu dzieci ta więź ze wspólnotą się rozwiązała. Na początku małżeństwa odeszliśmy też trochę od Boga. Skupiłam się na domu, na swoim cierpieniu, że jestem taką zmęczoną mamą i przez jakiś czas rzadko chodziłam do kościoła.

Kiedy ma się kryzys, rozmawia się o tym z różnymi osobami. Koleżanka powiedziała mi, że jest taki kapucyn, który organizuje weekendy małżeńskie. Przekonała mnie, żebyśmy tam się wybrali. Tak też zrobiliśmy. Tematem przewodnim było, jak okazywać czułość współmałżonkowi i co zrobić, aby poczuł się kochany. Czułam, że to jest coś dla mnie, bo w ogóle nie czułam się kochana przez swojego męża. Kiedyś między nami było dużo miłości, czułości, otwartości, ale kiedy pojawiły się dzieci, zaczęliśmy się

od siebie oddalać. Miałam poczucie, że krytykując moje macierzyństwo uderza w moje poczucie własnej wartości. Uważałam, że skoro ma do mnie jakieś uwagi, to znaczy, że jestem w jego oczach beznadziejną kobietą, żoną i matką. Ten weekend pokazał mi, że kierują mną niszczące mechanizmy. Zobaczyłam, że całą winę zwałam na męża. Myślałam, że może coś tam malutkiego zawiniłam, ale generalnie to on jest zły. Gdyby był inny, to by się nam układało. Okazało się natomiast, że to ja mam mnóstwo pracy do wykonania i zaczęłam to dostrzegać. Wzięłam udział w programie „12 kroków ku dojrzałości”, który prowadzili pallotyni. Mąż się też na to zapisał, a potem ja też dostrzegłam, że po prostu potrzebuję psychoterapii, więc poszłam na nią.

Wiara pomaga

Wszystko właśnie było powiązane z duchowością. Zaczęliśmy na powrót zbliżać się do Kościoła i budować relację z Bogiem. Przyjrzałam się swojemu obrazowi Boga i zobaczyłam, że tak naprawdę wydaje mi się, że jest On gdzieś daleko, jest zajęty wszystkim innym, a ja pozostaję dla Niego niezauważona. Zresztą nasza relacja z Bogiem w dużej mierze kształtuje



FOT. Z RODZINNEGO ARCHIWUM

modlitwy. Kiedy jednak zaczęłam na nowo wracać do codziennej modlitwy, na nowo zaprzyjaźniać się z Bogiem, to zaczęłam się spontanicznie modlić z synami. Mówiłam im, aby dziękowali za to, co dobrego ich spotkało tego dnia. Zachęcałam, by przepraszać za złe uczynki i prosili o to, co chcieliby otrzymać. Sama zaczynałam pierwsza, aby dać im przykład, za co można dziękować, przepraszać i o co można prosić.

Nie mieliśmy natomiast takich rytuałów, że np. w Adwencie zbieraliśmy się i wspólnie czytaliśmy Biblię. Coś się zmieniło, kiedy starszy syn zaczął przygotować się do Pierwszej Komunii świętej w parafii Matki Bożej Miłosierdzia, prowadzonej przez marianów na warszawskich Stegnach. Wszyscy wtedy zaangażowali się, uczestniczyliśmy w różnych spotkaniach, przygotowaliśmy się razem do spowiedzi, robiliśmy rozmaite ćwiczenia itd. Zostało nam wiele z tego do dzisiaj, bo ksiądz Tomasz Sadłowski MIC zebrał rodziców i dzieci w duszpasterstwie rodzin. Po niedzielnej Mszy św. uczestniczymy np. w spotkaniach organizowanych w parafialnej kawiarence, w wakacje jeździmy na obozy z księdzem. Chłopcy tak się wciągnęli, że zostali ministrantami. Są tak zafascynowani posługą przy ołtarzu, że młodszy, 10-letni syn potrafi służyć do wszystkich niedzielnych Mszy św., a jest ich u nas aż siedem. W domu natomiast przygotował sobie papierowy trybularz i udaje, że okadza mieszkanie. Ma też swój własny ołtarzyk, a na nim Pismo święte i krzyż. Powtarza także nieraz, że on nie założy rodziny, ale zostanie księdzem.

Kiedy synowie mieli po trzy, cztery lata trudno ich było zaciągnąć do kościoła. Obecnie sami popędzają nas, rodziców, abyśmy się nie spóźnili na Mszę św. Jest w tym bardzo duży wpływ marianów. Kładziemy oczywiście nacisk na wychowanie religijne. Jestem jednak zdania, że nie należy dzieci do niczego zmu-

szać i czasem lepiej odpuścić, niż np. zmuszać dziecko do uczestniczenia w Eucharystii. Kiedy synowie byli mali, chętnie chodziliśmy na Mszę św. dla dzieci, w której była przestrzeń, żeby mogły się poruszać, zbierać tacę, iść w procesji z darami, wypowiadać swoje prośby w modlitwie wiernych. Nie uważam, że należy pozwalać dzieciom zmieniać kościół w plac zabaw, ale trudno też wymagać od nich skupienia przez godzinę.

Staramy się wciągać nasze dzieci w życie religijne treściami, których forma ich pociąga. Oglądamy więc ostatnio razem popularny serial religijny, czy czytamy Biblię w komiksie. Uważam jednak, że najważniejsze, aby dzieci widziały, że ich rodzice wierzą i są zaprzyjaźnieni z Bogiem. Staram się codziennie rano medytować i moi synowie dostrzegają, że naprawdę mam z Bogiem bliską relację. Ważnym elementem jest też to, że mamy bliskie relacje z naszymi dziećmi. Spędzamy z nimi czas, rozmawiamy na trudne czy wstydlive tematy. Nie chodzą do kościoła za karę, ale dlatego, że chcą. A chcą dzięki temu, że są zaangażowane, mają swoje funkcje w parafii, znają księży, społeczność lokalnego Kościoła i czują, że to jest ich miejsce. Chodzą też, bo widzą jak my z mężem chodzimy do kościoła, przystępujemy do sakramentów świętych. Dodatkowo całą rodziną korzystamy z aktywności dla rodzin, które są organizowane w parafii, głównie dzięki Fundacji Vocati: gry planszowe, świetlica dla dzieci, zajęcia dla ojców z dziećmi, klub mam, mnóstwo zajęć wspierających rodziców. Jestem bardzo wdzięczna Bogu i ludziom, że moi synowie są w takim miejscu, gdzie Kościół jest tak żywy. ■

Żona, matka dwóch synów. Zawodowo prowadzi kursy dla rodziców, pomagające m.in. uspokoić i wyciszyć dziecko, aby rodzina mogła funkcjonować bez ciągłych kłótni i krzyków.

się w oparciu o relację z rodzicami. Zaczęłam świadomie przyglądać się temu, zmieniać ten obraz, robić codzienną medytację, a do tego doszła intensywna praca na psychoterapii. W moim życiu zawitała siła, energia i radość. Obserwowałam owoce modlitwy i pracy nad sobą w naszej rodzinie, która coraz lepiej funkcjonowała.

Oczywiście, to wszystko trwało i nie obyło się bez trudności. Apogeum przypadło na czas, kiedy moi synowie mieli cztery i dwa lata. Młodszy syn przeżywał wtedy bunt dwulatka, a robił to w sposób niezwykle gwałtowny. Po prostu wybuchał. Miałam wrażenie, że też chłopcy zaczynali się dużo gorzej zachowywać, jak my się kłóciliśmy. Oni się kłócili między sobą, ten młodszy w złości roznosił cały dom. Jak nie zgadzałam się np., by oglądał bajkę, to demolował pokój, rzucał wszystkim, co miał pod ręką. Starszy syn był bardzo chorowity. Jak zaczęliśmy pracować nad sobą, to zobaczyłam, że młodszy się uspokaja, a starszy przestaje chorować. Byłam zdumiona, jak moje i męża zachowanie wpływało na nasze dzieci.

Przekazywanie wiary w rodzinie

Na początku naszego rodzicielstwa nie przykładaliśmy wagi do